Ochrona lasów.

Z tego co powiedzieliśmy dotychczas wynikałoby, że pragnąc szczerze ochronić lasy jako dobro powszechne od klęski zniszczenia, powinien człowiek przedewszystkiem poskromić swój własny apetyt, gdyż wszystkie inne czynniki jakie składają się na szkodę lasów, w niemałej części są uzależnione od niego samego.

Weźmy tylko jako przykład pożar lasu, powstały wskutek siły wyższej, a więc niezależny od człowieka. Czy wiele np. pożarów lasu naliczylibyśmy od uderzenia pioruna?

Uderzenie to może nawet spalić trafioną sztukę, o ile ta była suchą lub bardzo żywiczną, ale rzadko sprowadza większy pożar, a natomiast przez rozmyślne podpalenie lub niedbalstwo samego człowieka pada ofiarą rok rocznie paręset morgów lasu. Uniknąć tej klęski moglibyśmy b. łatwo gdybyśmy mieli dostatecznie uświadomione społeczeństwo, o zgubnych skutkach własnej lekkomyślności.

Niejeden zapytałby słusznie, dlaczego istnieniu dziewiczych puszcz istniejących ongiś, nawet w kraju naszym, nic nie groziło, a dopiero dziś tyle podnosi się hałasu o ochronę tego co jeszcze pozostało? Przecież i dawniej mógł powstać pożar, orkan, klęska kornika, mniszki czy sówki, lecz widocznie przechodziło to bez takich groźnych następstw, zupełnie przeciwnie temu co się dzieje dzisiaj. Pytanie takie miałoby słuszne podstawy, gdyby pytający porównali ówczesne zaludnienie z dzisiejszem. Kiedy przed setkami lat na jednego mieszkańca mogło wypaść po paręset morgów zalesionej powierzchni, to dziś jak np. u nas, wypadnie zaledwie po parę morgów. Mógłby ktoś wyrazić zdziwienie słysząc, iż nader poważną przyczyną zaniku lasów jest postęp cywilizacji, a jednak tak jest naprawdę. Kiedy bowiem pierwotny człowiek krył się w grotach skalnych, pieczarach, jamach i t. d. to natomiast z postępem cywilizacji stawiał już szałasy, namioty, aż doszedł w końcu do potrzeby budowy domu z drzewa nietylko dla siebie samego, ale z czasem nawet dla zwierząt, jakie udało mu się oswoić dla korzyści jakie z nich osiągał. Ze wzrostem więc zaludnienia i postępem uświa-

domienia, a równocześnie z potrzebą szukania środków do życia, zaczęto wypalać lasy dla zdobycia ziemi pod zasiew zboża. Łatwe również do zrozumienia, że rąbano bezplanowo i tyle, ile każdy mógł uprawić, a rąbiąc na potrzeby budownictwa wybierał zawsze sztuki jakie mu się podobały, byle bliżej swego przyszłego osiedla. Ze ściętej sztuki wybierano to co najcenniejsze t. j. odziomek, pozostawiając resztę na pastwę gnicia. A wiemy z doświadczenia, że każda fizyczna niemoc ludzkiego czy nawet zwierzęcego organizmu potęguje się, o ile nie zachowujemy pewnych przepisów, jakie wiedza lekarska zaleca. Każda epidemja rozszerza się i obejmuje coraz większy obszar, przy lekceważeniu lub zaniedbaniu wskazań lekarskich. Podobnie jak niema organizmu ludzkiego wolnego zupełnie od chorobotwórczych zarazków, tak niema i nie było lasu, gdzie nie byłoby szkodliwych owadów lecz występujących groźnie dopiero z chwilą, kiedy posiadają ku temu sprzyjające warunki ich rozwoju a przygotowane przez nikogo innego jak tylko człowieka.

Taka rabunkowa gospodarka w lasach była nietylko tym ujemnym czynnikiem wywierającym poważny wpływ na przyszłość lasów, ale równocześnie ułatwiała znakomicie rozwój szkodliwych owadów, dozwalając na groźne ich wystąpienie w postaci epidemji.

Lecz ten sam człowiek widząc w końcu zgubne skutki własnej nieoględnej gospodarki, podjął walkę z czynnikami zagrażającemi istnieniu lasów. Tak więc nauka i ustawodawstwo starają się przeciwdziałać ujemnym wpływom, przynoszącym szkodę lasom a szkody te jak powiedzieliśmy już, są rozmaite. Zacznijmy od pożarów, wiemy bowiem jakim groźnym wrogiem lasu jest pożar.

W porze więc właściwej należy skierować baczną uwagę na możliwość wzniecenia pożaru. Najczęściej powstaje pożar w porze wiosennej i jesiennej. Czym większy nieporządek w lesie tym pożar jest groźniejszy. Dotkliwość szkód wyrządzanych przez pożary skłoniła poważniejsze administracje leśne — oprócz stawiania wież strażniczych, z których szczytu czuwa strażnik, bacząc pilnie na cały obszar lasu, skąd też wrazie dostrzeżenia dymu sygnalizuje powstanie pożaru — do przyjmowania na tą porę umyślnych stróży, którzy wyłącznie tylko czuwają, aby nie wzniecono w lesie pożaru.

Wszystkie państwa oceniwszy należycie dobrodziejstwo istnienia lasu, jego poważny wpływ na zdrowotność kraju, ochronę przed szkodliwemi wiatrami, doniosłość w regulowaniu wpływów atmosferycznych i t. d. i t. d. w końcu uznając jego charakter dobra powszechnego, uważały za konieczne zabezpieczenie tego dobra od zagłady. I dlatego to właśnie nieomal we wszystkich krajach ustawowo zapewniono lasom pomoc ludności wrazie pożaru. Niektóre ustawodawstwa poszły tak daleko, iż posiadały w ustawie paragraf, w jakim powiedziano, że kto

spotkał ogień w lesie a nie zameldował o niem najbliższą władzę t. j. wójta lub sołtysa, wrazie udowodnienia mu tego zaniedbania, karany był tak, jakby sam był sprawcą ognia. Uchylenie się — bez podania poważnej przyczyny — od udzielenia pomocy, wrazie wezwania do gaszenia ognia, byłoby również karane. Od dnia 1 kwietnia do końca września pod grozą odpowiedzielności, nie wolno było chodzić po lesie z palącym papierosem lub fajką bez pokrywy.

W trosce o całość lasu nie wolno było w tym czasie rozniecać ogni w lesie, a nawet posunięto się tak daleko, że było to wzbronione nawet w promieniu trzystu kroków od najbliższego lasu.

Jak widzimy z powyższego znaczenie lasu dla dobra powszechnego zostało należycie zrozumiane, a obawa następstw, wskutek powstania pożarów skłoniła rządy państw do przedsiębrania takich środków, aby możliwość powstawania ognia sprowadzić do minimum.

Pożary leśne są rozmaite. O żadnym z nich jednak nie można powiedzieć, że jest bez znaczenia, chociaż szkody napozór nie są widoczne. Nauka podaje nam trzy rodzaje pożarów leśnych, a nazwy ich wzięto od ich sposobu pojawienia się. Mamy więc pożar przelotny, wierzchołkowy i ziemny.

W porze wiosennej a również i jesiennej spotykamy się najczęściej z pożarem przelotnym. Jeżeli wykluczymy rozmyślne podpalenie to pożar ten powstaje przez ludzką karygodną lekkomyślność lub niedbalstwo. Rzucony a niedopalony papieros lub tlejąca się jeszcze zapałka na ziemię, gdzie leży warstwa suchych igieł lub liści, przy najlżejszym wietrze powoduje szybkie rozszerzanie się pożaru tak daleko dokąd starczy materjału palnego. Przytem jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że z chwilą wybuchu ognia przez rozgrzanie się powietrza powstaje silniejszy wiatr, jaki znacznie utrudnia rychłe opanowanie ognia, często przerzucanego przez ten wiatr na dalsze części lasu pożarem jeszcze nie objęte. W drzewostanach starszych a szczególniej w uporządkowanych, gdzie brak na ziemi palnego materjału, jak szyszek, gałązek, kory i t. p. pożar ten kończy się szybko ograniczając się na powierzchownem osmoleniu pni pojedyńczych sztuk. O wiele groźniejszym i znacznie szkodliwszym bywa pożar przelotny kiedy powstaje lub przedostanie się do kilkuletnich kultur gdzie sucha trawa, mech i wrzosy stanowią doskonały palny materjał, zwłaszcza, gdy pożar powstaje wczesną wiosną, kiedy niema jeszcze trawy świeżej, a wysuszone wiosennym wiatrem z roku na rok przegniwające trawy i zioła nietylko, że palą się gwałtownie ale często w zbitej swej warstwie kryją tlejące iskry ognia. O ile pożar przelotny nie rozszerzył się zbytnio bardzo łatwo daje się ugasić biciem gałęziami. Zdarza się często, że zanim nadejdzie pomoc ogień objął znaczniejszy obszar i nie pozwala się inaczej opanować jak tylko poświę-

ceniem pewnej powierchni jaką sami zapalamy z przeciwnej strony od idącego ku nam ognia, pilnując, aby wzniecony przez nas ogień nie przedostał się poza nasze plecy, gdzie staramy się usunąć wszelki palny materjał. Kiedy pożar dojdzie do powierzchni przez nas zapalonej i nie znajdzie tam już nic do strawienia, musi ustać. Następstwem pożaru przelotnego osobliwie w kulturach jest najczęściej potrzeba usunięcia całego zalesienia. W drugim a nawet w trzecim roku po pożarze żałujemy, że daliśmy się zwieźć zielenią i wcześniej nie usunęliśmy pożarem dotkniętego zalesienia, jakie powoli wprawdzie ale stopniowo usycha.

Pożarem wierzchołkowym nazywamy ten, który ogarnia całe wysokie nawet drzewo aż do samego wierzchołka, wypalając równocześnie doszczętnie całe istniejące podszycie. Pożar taki daje się ugasić przez szybkie przerąbanie linji aby w ten sposób przerywając zwarcie umiejscowić pożar. Przy każdym pożarze czy to przerębując linje ogniowe lub zakładając przeciw ogień, należy pamiętać o tem i brać pod uwagę oddalenie od szalejącego pożaru, aby rozpoczęta przez nas praca mogła być wykończoną zanim dym i gorąco nie przeszkodzi nam w jej wykonaniu.

Pożar ziemny powstaje wskutek zapalenia pokładów torfowych lub warstw próchnicowych jeszcze niezupełnie rozłożonych. Ogień taki, osuszając około siebie owe warstwy posuwa się wprawdzie wolno ale stale o ile nie zostanie wcześniej przerwany przez okopanie rowami i zalany wodą. Wypalając doszczętnie pokłady torfu powoduje zniszczenie całych drzew, których korzenie zostały przez ogień strawione.

Nie potrzebujemy dalej dowodzić, że każdy z tych pożarów o jakich wyżej mówiliśmy, jest poważną klęską jaka przyczynia się w niemałym stopniu do kurczenia się powierzchni leśnych, gdyż na odnowienie np. paręset morgowych powierzchni wypalonych kultur, nie każdy może sobie pozwolić.

Dodamy jeszcze, iż poważnym czynnikiem utrudniającym rozszerzanie się pożarów szczególniej przelotnych i wierzchołkowych jest hodowla mieszanych drzewostanów.

Niemałą też krzywdę lasom wyrządza inwentarz domowy. Niewinna na pozór chęć popasienia bydła w kulturach, gdzie przez spokój bujniejsza pasza, powoduje niszczenie tysięcy młodzieży. Ograniczenie wypasu bydła w lesie do niezbędnego minimum, przyniesie lasom tylko korzyść. Niemniej poważne szkody wyrządza kulturom szczególnie drzew iglastych łowna zwierzyna. Celują w tem sarny przez ogryzanie pędów wierzchołkowych. Nadmierne rozmnożenie się zwierzostanu w Małopolsce w okolicy Przemyśla, osobliwie sarn, zniszczyło paręset morgów przepięknych kultur co zmusiło w końcu admin. leśną wobec stale powtarzającej się klęski uszkadzania kilkuletnich kultur do smo-

łowania wierzchołków sadzonek celem obrzydzenia ich sarnom. Smołowanie to jednakże, nie mówiąc już o niepotrzebnych wydatkach, tamowało naturalny wzrost sadzonki. Unikając tych szkód i wydatków z tem połączonych, należy odpowiednio unormować w lesie stan zwierzyny łownej.

X.

Poznawanie drzew.

MORWA.

Od czasu do czasu nadchodzą pod adresem Redakcji różne odezwy z prośbą o zachęcanie czytelników pisma do popierania tej lub owej gałęzi gospodarstwa krajowego. Jedna z podobnych, zasługująca na uznanie, a nawołująca obywateli do uprawy drzew morwowych, skłania nas do podania kilku szczegółów o tem drzewie rosnącem dziko w Persji, Chinach i południowych krajach Europy. U nas znaleźć ją można po ogrodach oraz plantacjach umyślnie zaprowadzonych dla liści, jakiemi karmi się gąsienice jedwabników. W większej ilości znaleźć się powinna w Kazimierzu nad Wisłą, gdzie według kronik najdawniej zaprowadzoną została.



Morwa czarna.

Rozróżniamy kilka gatunków drzew morwowych lecz do najważniejszych zaliczamy morwę białą i morwę czarną. Ponieważ liście tej ostatniej mniej są przydatne do żywienia jedwabników, przeto mówić będziemy tylko o morwie białej, która w warunkach sprzyjających jako drzewo dochodzi do pięćdziesięciu stóp wysokości, o strzale, rozrastającej się w gałęzie rozłożyste, okrytej korą brudno - popielatą, gładką na młodych gałęziach, popękaną na gałęziach starszych. Liście jasno zielone, szkliste, gładkie, mięsiste i miękkie. Owoce jagody białe lub lek-

ko czerwonawe wielkości maliny w smaku mdławo słodkie, zdatne do wyrobu octu. Drewno żółtawe, miękkie i kruche. Najdonioślejszą zaletą morwy są liście — jedyne na pokarm gąsienic jedwabników.

Drzewo morwowe rośnie szybko i nie wymaga specjalnej ziemi. Można je wysadzać na miedzach w polach, przy drogach, byle na gruntach ciepłych i lekkich. Z łatwością rozmnaża się przez sadzonki, żywe koły i odkładanie. Najwłaściwiej i najłatwiej rozmnaża się z nasienia, jakie po zasianiu wschodzi w dwa a najpóźniej w trzy tygodnie. Nasiona morwy zachowują zdolność kiełkowania do lat trzech. Najwłaściwsza pora zasiewu morwy przypada na drugą połowę maja t. j. porze w jakiej nie można się już spodziewać nocnych przymrozków.



Morwa biała.

Morwa rozmnażać się daje również przez sadzenie wiosną gałązek cienkich, pociętych na kawałki do 15 cm. długości, a przyjmą się nawet grubości palca o ile będą parę razy w ciągu tygodnia podlewane miękką wodą.

Przez odginanie ku ziemi nisko rosnących gałązek i przesypywanie ich w środku ziemią, puszczą w tem miejscu korzenie i już w następnym roku można tą gałąź oddzielić od pnia macierzystego jako nowe drzewko. *X.*

LEON PĘSKI.

Pogadanki o łowiectwie.

W piękny słoneczny poranek zimowy wszedł do mojej kancelarji, w której siedziałem nad rachunkami, młody gajowy Berkata.

Z jego miny odrazu zauważyłem, że ma mi coś ważnego do zakomunikowania.

— Cóż tam słychać Berkato? zapytałem.

— Ot panie nadleśniczy, przed chwilą spotkałem się w lesie z dziwnym zwierzem, nie widziałem jeszcze takiego, ale z opowiedzeń i rysunków to wydaje mi się, że to ryś.

Jakby tknięty sprężyną zerwałem się z krzesła i przyskoczyłem do Berkaty.

— Gdzieście go widzieli? zawołałem.

— Ot tam w dolinie, gdzie ta osika wywrócona, którą pan nadleśniczy kazał na drzewo opałowe porąbać, szedł bestja wolniusieńko. Stałem schowany za sosną, a potem duchem przyleciałem by to panu powiedzieć.

Za chwilę już saneczki były założone, trzech chłopców, Berkata i ja uczepiliśmy się jak kto mógł i popędziliśmy ku dolince by sprawdzić tropy.

Okazało się, że tropy rzeczywiście były rysie, bo choć je po raz pierwszy widziałem, lecz z opisów poznałem, że to są jego tropy biegnące równym sznureczkiem, o wyraźnych okrągłych odciskach łap na śniegu, z pochowanemi pazurami.

Na miejscu ułożyiliśmy plan działania.

Ryś najwidoczniej poszedł w stronę „zwierzyńca" o ile więc stamtąd chciałby się wydostać to mógł tylko skierować się w prawą stronę to jest w kierunku ciągnących się olbrzymich lasów rządowych i prywatnych nad Horyniem.

Prosto ani też w lewo od zwierzyńca nie poszedł, ponieważ wprost przed nami o parę kilometrów w lesie rozciągała się osada leśna szlachty zagonowej zwanej Bartyniem. Z lewej zaś strony były pola folwarczne.

Dałem więc rozporządzenie Berkacie, by pojechał z chłopcami, pozostając sam zdala po prawej stronie kniei, dwóch zaś chłopców, by rozstawił, jednego wprost mego stanowiska, drugiego zaś z lewej strony kniei.

Kazałem im, by wszyscy zlekka postukując o drzewa kijami zbliżali się do mnie, sam zaś zatrzymywałem się na tropach wchodowych rysia,

Gdy saneczki zniknęły, rozejrzałem się, gdzieby się ukryć najlepiej, wybrałem też sporą sosenkę, za którą stanąłem zupełnie przykryty od strony, z której się spodziewałem rysia, a pomiędzy gałęziami jak przez okienko wszystko widziałem przed sobą i w razie potrzeby mogłem strzelić. Stałem tak nieruchomo przez bardzo długi czas, przyglądając się powalonej grubej osice, która o jakie kroków trzydzieści odemnie leżała.

Jakaś nieprzewidziana, niezrozumiała i niepojęta siła przykuwała wzrok mój do kłody powalonego drzewa, z trudem nieraz odrywałem wzrok swój by spojrzeć w stronę i znów wlepiałem go w powalone drzewo.

Cisza.... Głęboka cisza wnętrza lasu niezmącona żadnym nawet dalekim odgłosem życia ludzkiego.

Cisza ta głębi boru, którą zna chyba tylko leśnik, dziwnie mnie nastrajała, kurczowo ściskałem broń w dłoniach i jakiś dreszcz nerwowy wstrząsał ciałem moim.

Lecz oto widzę po drugiej stronie zwalonego drzewa wystające ponad kłodą dwa spiczaste końce uszów i cisza.... żadnego szelestu, tylko poruszające się końcuszki uszów stanęły na miejscu, a po chwili jakby pod wpływem jakichś nieznanych czarów, niezrozumiałych wprost dla mnie, skokiem nieuchwytnym dla oka ujrzałem rysia stojącego już na pniu zwalonego kolosa.

Zwrócił swą okrągłą głowę w moją stronę, badając przenikliwie krzaki, za któremi stałem, na szczęście wiatr był w moją stronę, nic więc zwęszyć nie mógł a i nic nie dojrzał, zwrócił więc głowę po chwili i zaczął przysłuchiwać się głębi lasu, z której wyszedł.

Skorzystałem z momentu i wypaliłem mierząc w bok rysia. Strzelałem dymnym prochem.

W pierwszej chwili dym zasłonił mi wszystko.

Gdy się dym jednak rozszedł, znów jak na skinienie różdżki czarodziejskiej rysia na kłodzie już nie ujrzałem.

Pędem więc przybiegłem do zwalonego drzewa i z gotową do strzału bronią przeskoczyłem na drugą stronę zwalonego pnia. Leżał tam ryś już nieżywy. Nie umiem wprost opisać uczucia dumy i radości z upolowania tak rzadkiego zwierza.

Wkrótce na odgłos mego strzału przybiegł zadyszany Berkata, a za nim chłopcy i stangret mój z koniem i saneczkami. Wszyscy oglądaliśmy z ciekawością zabitego rysia, a ja musiałem dawać wyjaśnienia na liczne zapytania o tym zwierzu. Był to samiec nadzwyczaj duży bo przeszło metr jeden i 30 centymetrów długości, o ślicznym owłosieniu żółto-szarym wpadającym w kolor stalowy, dość silnie centkowany ciemnemi plamami, które na łopatach i bokach były wyrazistsze.

Głowa rysia duża i okrągła, o sterczących spiczastych uszach, ponad które wyrastały długie sterczące włosy, oprócz tego z obydwóch stron łba posiadał owłosienie w rodzaju bokobrodów.

Łapy rysia są grube, mocne z pazurami ruchomemi, które można chować i wysuwać.

Zręcznie się wspina na drzewa i jest nadzwyczaj krwiożerczy i wielki szkodnik; napada nietylko na mniejszą zwierzynę ale i na większą jak jelenie i łosie.

Oprócz tego napada i swojskie bydło; jest nadzwyczaj trudny do otropienia, a to z powodu tego, że ciągle się włóczy.

Wobec czego polowania na rysia specjalnie prawie nigdy się nie urządza, a upolować go można jedynie zawdzięczając szczęśliwemu wypadkowi spotkania się z nim lub trafiwszy na trop świeży puścić psa, samemu stojąc na przesmykach. Bo ryś tak jak i lis wymyka się dolinami, lub też przemyka się nad brzegami błót gęsto zarośniętemi.

Stary ryś nigdy prawie przed psem na drzewo nie ucieka, a krąży w koło swego legowiska, tak że daje to pewną możność myśliwemu znającemu dobrze las i wszelkie przesmyki, zabiec mu drogę.

Ryś przychodni, zwykle gdy pies ruszy, zmyka wprost w strony skąd przybył i o ile myśliwy odrazu drogi mu nie przetnie to z nim się napewno już nie spotka.

Młode rysie ruszone psami często chronią się przed niemi na drzewa, a oszczekiwane przez psa nie ruszą się z miejsca i myśliwy może je łatwo podejść.

Strzelać należy nabojami ostremi t. j. loftkami, ryś bowiem jest nadzwyczaj twardy na strzał i śrót nawet dość gruby nie położy go na miejscu.

Ryś dawniej był dosyć częstym zwierzem w borach naszych i zaliczany do rodzaju kotów, przezwany został tygrysem europejskim. Kultura jednak stopniowo wyciskała go z borów nietylko Europy zachodniej, gdzie ostatnio rysie padły w r. 1840, lecz znikają one i z borów naszych, wynosząc się coraz dalej.

Spotykają się jednak i dziś jeszcze w wielkich borach Wołynia, Pińszczyzny i Wileńszczyzny.

Opisane powyżej spotkanie moje z rysiem miało miejsce na Wołyniu w pobliżu Połonnego w lasach prywatnych 1897 r. Był to pierwszy ryś, z którym się spotkałem i którego upolowałem w życiu moim.

Później polując w lasach rządowych na Pińszczyźnie zabiłem jeszcze dwa rysie.

Ostatnie zaś moje spotkanie z rysiem, do którego, niestety strzelać nie mogłem, było na Pomorzu w 1925 r., a odbyło się w następujący sposób:

W państwowym nadleśnictwie Jamy polowałem w 1925 r. latem na stropionego odyńca i postawiony byłem na idealnym miejscu do strzału, bo nad szeroką drogą, po lewej mojej stronie o jakie kroków sto dwadzieścia odemnie, za niewielką sosenką, stanął nadleśniczy, zawołany hodowca i myśliwy, a przytem dobry strzelec, zwłaszcza kulami.

Naganka miała ruszyć bez sygnału, to też bacznie spoglądałem na wszystkie strony.

W tem coś mognęło i z lewej strony, o sto kroków od siebie ujrzałem wspaniałego rysia, który stanął na środku drogi i bacznie mi się przyglądał.

Nie ruszyłem się, spojrzałem tylko w stronę nadleśniczego i widziałem jak podniósł sztucer i mierzył i czegoś zdawało mi się, że wieki upływają, a strzału nie słyszę.

Ryś stał w całej swej okazałości, błyszcząc rudawą barwą w gorących promieniach słonecznych, gdy wtem huknął strzał, a zwierz potężnym susem znikł w gąszczu leśnym.

Tak byłem zdziwiony niespodziewanym zjawiskiem, że w pierwszej chwili nie mogłem się zorjentować, czy to był rzeczywiście ryś, czy też wszystko to mi się tylko wydawało. A jednak w rzeczywistości był to ryś, niestety, z powodu zdenerwowania spudłowany.

Przez dłuższy czas w okolicy całej mówiono o powyższym wypadku, a pomiędzy ludnością rozeszła się pogłoska, że tygrys grasuje w lasach państwowych.

W lutym, r. 1926 polując w tym samem nadleśnictwie specjalnie na lisy, znów spotkaliśmy się z tym samym prawdopodobnie rysiem.

Wybrałem sobie stanowisko na dolince i byłem niemal pewny, że lisiura na mnie wyjść powinien, woli on bowiem przemykać się dolinkami od defilowania pagórkiem.

Naganka ruszyła, trąbki na skrzydłach dźwięcznie zagrały i odgłos naganki z lekkim poszumem wiatru dolatywał do nas i znów rzut oka z mojej strony w bok i ogromne zdumienie na widok pięknego rysia, o barwach ciemnych, niemal siwych, kroczącego powoli o jakie trzydzieści kroków od mego sąsiada, odemnie, niestety, ryś był o jakie kroków dwieście.

Strzał huknął, a ryś krótkim galopem pomknął przez kulturę, padł strzał drugi i ryś skrywa się w świerkowym zagajniku.

Po skończonym miocie, zdenerwowany i zemocjonowany p. T., który do rysia strzelał, na czworakach nieomal wsuwa się pod gęste zwarcie młodej świerczyny, za nim podążają naganiacze, nadleśniczy i paru myśliwych.

Rozpoczynają się poszukiwania, niestety, bez rezultatu, bo choć był mróz, śniegu jednak nie było zupełnie,

Był więc ryś na Pomorzu św. Hubert go bronił... obronił i... wywiódł z powrotem do borów rodzinnych.

Od tego bowiem czasu nie widziano już śladów i nie spotykano go więcej.

Ku uwadze Czytelników.

Ponieważ ogólnie wiadomo, że dochody gajowych nigdy nie idą w parze z ich rozchodami, o czem aż zbyt szczegółowo mówią zamieszczone listy w poprzednich numerach Ech, przeto wszelka nadarzająca się możliwość powiększania tych dochodów drogą godziwą, bez zaniedbywania obowiązków służbowych, powinna znaleźć oddźwięk wszędzie tam, gdzie tylko na to warunki miejscowe pozwalają. Wiemy dobrze, iż w pobliżu nieomal każdej gajówki znajdzie się miejsce na postawienie np. kilku uli, nie wymagających specjalnego poświęcenia się pracy około nich, a byle tylko okolica obfitowała w pożytek, opłacają się sowicie, bez nadzwyczajnych nakładów.

Jeżeli więc tylko jak powiedzieliśmy, są ku temu sprzyjające warunki, to żaden z gajowych nie powinien zaniedbać sposobności, aby postawić parę uli. Podobnie rzecz się ma z hodowlą warzyw, jaka w pobliżu miast i miasteczek przynosi nie do pogardzenia dochód. Podajemy przeto naszym Czytelnikom od czasu do czasu artykuliki, tak z dziedziny pszczelnictwa jak i ogrodnictwa w przeświadczeniu, iż niejeden z treści ich skorzysta. Obecnie podajemy poniżej w streszczeniu odezwę zachęcającą do hodowli jedwabników z wiarą, że o ile trafi ona do przekonania Czytelników, to wówczas czego nie uda się zdziałać w tym roku, będzie jednakowoż zaczątkiem na przyszłość. Chcąc zrozumieć doniosłość tej gałęzi przemysłu, jaką ludzie dobrej woli pragną przyswoić krajowi, należy w krótkości bodaj objaśnić na czem ona polega.

Co to jest jedwab wiemy wszyscy, ale z czego się robi wie nie każdy, jak również i o tem, że od niepamiętnych czasów wyrobem jedwabiu trudnili się Chińczycy, skąd z biegiem lat rozpowszechnił się ten przemysł w krajach Europy, która za setki miljonów musiała produkt ten nabywać. Chiny więc są ojczyzną jedwabiu produkowanego z oprzędów (kokonów) gąsienicy jedwabnika (motyle z rzędu ciem), żywiącego się liśćmi drzewa morwowego. Jednym więc z bardzo ważnych warunków jest przedewszystkiem posiadanie drzew morwowych, będących jak powiedzieliśmy podstawą hodowli jedwabników. „Kto je ma — mówi odezwa — ten ma i obowiązek nie dopuszczać, by marniały dalej bez

pożytku. Morwa to drzewo nie wybredne jak wierzba. Daje i ładne sztywne żywe ogrodzenia — żywopłoty do cięcia podczas hodowli. W tej formie dochodują najszybciej jak i sadzone na krzaki. Dla trwałości i rozwoju hodowli potrzebne i prowadzenie jako drzewa. Sadzi się byle gdzie i po kątach, nieużytkach, a zagranicą doświadczono, że zysk dają nawet one większy, niż drzewa owocowe".

„Kto ma morwy, mówi dalej odezwa, niech więc ich nie trzyma bez użytkowania. Niech pomni na groźne słowa Chrystusa o posiadaczach skarbów nieużytkowanych. Polska sprowadza jedwabie za wiele miljonów. Hodowla polska da za surowiec gotówkę, da pracę przy przerobie fabrycznym dla robotnika. Polska czeka, że ludzie nie dadzą marnieć drzewom, biorąc na sumienie grzech ciężki — grzech zaniedbania. Polska czeka, iż będą siane i sadzone drzewa morwowe: „Sadźcie morwy, hodujcie jedwabniki a jedwabnictwo może krajowi przynieść miljony"! Wzywał w swoim czasie Król — Duch Narodu Sienkiewicz. Hodujmy więc tem, co mamy — sadźmy i siejmy dalej na potęgę dobra powszechnego!

A dalej mówi odezwa, że cała hodowla jedwabników zabiera mało czasu, trwa bowiem około pięciu tygodni. Koszt niewielki a prowadzić ją mogą i dzieci i osoby wiekowe. Wytwór się nie psuje, a stały zbyt po dobrej cenie zapewniony. Jedna dorosła morwa wystarcza na hodowlę ze sprowadzonych 2-ch gr. jajeczek co daje w rezultacie 5 klgr. oprzędów po 9 złotych. Zyski wprawdzie nie miljonowe ale dadzą już poważny dochód przy działce robotniczej, podmiejskiej czy też innej drobnej, bo 16 — 20 drzew może dać karm hodowli z 25 gr. jajeczek w jednej izbie. Da to już 60 klgr. oprzędów po 9 zł. za klgr., otrzymamy 540 złotych za miesiąc lekkiej pracy. Mórg ziemi w Polsce daje przeciętnie 50 zł. czystego dochodu. Krzaczasto lub drzewiasto prowadzona marwa oddzielnej ziemi nie potrzebuje, kto ma hodowlę, ten jakby powiększył swą posiadłość o 8 mrg. Wprawdzie z krzaków ma się dopiero w czwartym roku do posiania karm dla gąsiennic jedwabnika ale można dostać sadzonki już dwuletnie. Pięćset sztuk dwulatek morwowych starczy na hodowlę z 25 gr. jaj. Setka morw dwuletnich kosztuje 40 złotych. Cała więc taka plantacja choćby rozrzucona po kątach byle gdzie, byle w słońcu, dwieście złotych, jeden gr. jajeczek jedwabnika 60 groszy.

Rady, wskazówki oraz wszelką potrzebną pomoc dostarcza „Centrala Jedwabnictwa w Polsce" Milanówek pod Warszawą. Tam też po nadesłaniu 1 zł. 10 gr. otrzymać można książeczkę, która całą hodowlę jako przewodnik prowadzi.

X.

L. MACISZEWSKI.

Na gajówce.

(Ciąg dalszy).

Korzystając z uprzejmości zabrania na wózek, starał się Witold bawić przygodnie poznane panie, anegdotami ze stolicy. Opowiadał więc dziwy i różne tak zwane w języku wielkomiejskim „kawały”, jakie młodzież urządzała w przystępie dobrego humoru.

Żywy rumieniec co chwila krasił twarzyczkę Zosi, wywołując na usta wesoły uśmiech. Skromne dziewcze po raz pierwszy słyszało o innem życiu opisanem tak barwnie. Świat jej dotychczasowy zamykał się w ramach gajówki i najbliższej sercu nauczycielki, która do chwili obecnej była jej jedyną kierowniczką życia i powiernicą najskrytszych myśli i marzeń.

I teraz z zapartem oddechem słuchała wesołych a niesamowitych bajd, w opowiadaniu jakich Witold celował, wysilając się na co raz fantastyczniejsze na widok, że słuchany jest z ciekawością.

Od czasu do czasu zachwyt Zosi przerywała nauczycielka, z pobłażliwym uśmiechem przywołując Witolda do porządku, kiedy ten w zapale krasomówczym zabrnął zbyt daleko. Napróżno jednak ze swej strony czynił Witold wysiłki, aby wciągnąć towarzyszki podróży w dłuższą rozmowę.

Obie panie zbywały te zaczepki krótkiem, tak lub nie, a szczególniej Zosia, pomimo podniecenia ciekawością, starannie unikała stawiania pytań obawiając się, aby nieświadomości jej nie wyzyskał Witold.

Obdarzona kobiecą przenikliwością, jakkolwiek nie rozumiała wiele z opowiadania Witolda, to odczuła, iż ten w opisie różnych przygód brał je jak to mówią ogólnie „na fundusz”.

Nie obyta z szerszym światem, nie umiała odróżnić możliwości faktów, od zwykłej towarzyskiej blagi. Czuła, że nie wszystko, o czem opowiadał towarzysz podróży, w zgodzie było z prawdą. W głębi jednak duszy musiała przyznać, iż spotkany młodzieniec wywarł na niej nieznane jej dotychczas wrażenie, a jego swoboda w obejściu, łatwość wypowiadania własnych myśli oraz niewyczerpany zapas humoru, jakim uprzyjemniał im parugodzinną drogę, usposobiło ją sympatycznie do młodego człowieka.

— Jak daleko mamy jeszcze do Boratycz? — zapytał Witold, zwracając się z tem pytaniem bezpośrednio do Zosi.

— Jesteśmy już nieomal na miejscu — odpowiedziała za Zosię nauczycielka — zawdzięczając panu, droga zbiegła nam szybko, za parę minut staniemy przed szkołą, a furman nasz odwiezie pana do nadleśnictwa, dokąd będzie pan miał jeszcze około trzech wiorst. Spodziewam

się, iż znajomość naszą zawartą przypadkowo podtrzyma pan, odwiedzając nas w niedzielę przy sposobności pobytu w kościele.

Wjechano do wsi, gdzie przed szkołą wstrzymał furman konie. Witold pomógł paniom zejść z wózka i rozpoczął na nowo od składania podziękowań za okazaną grzeczność i obietnicę odesłania do nadleśnictwa.

— Cała przyjemność po mojej stronie, — kontynuował swoim stylem, i niech Bóg i nadal sprzyja szlachetnym zamiarom podobnym jak natchnienie szanownej pani odesłania zdrożonego podróżnika do nadleśnictwa, a niczego więcej sobie tak nie życzę jak tego, aby spełniły się jak najrychlej chęci moje ujrzenia pań i złożenia im mojego uszanowania. Nie nadużywając jednak dłużej ich uprzejmości, pozwolę sobie raz jeszcze podziękować za łaskawość i prosić o pamięć.

Mówiąc to skłonił się raz jeszcze, wsiadł z powrotem na wózek i polecił wieźć się do nadleśnictwa.

Przyjęcie w nadleśnictwie, do którego przybył w pół godziny po rozstaniu się z paniami, nie należało do szczególniejszych. Sam nadleśniczy pan Miazga, któremu przedstawił się Witold, przyjął go ze zdziwieniem i zapytaniem, dlaczego przybywa wcześniej aniżeli zapowiedział to listownie?

Wyjaśniło się przytem, że Witold przez zwykłe swoje roztargnienie pomylił daty przyjazdu i niesłusznie na wstępie żalił się na brak koni na stacji. Wyjaśnienie to dało nadleśniczemu powód do utyskiwań na dzisiejszą młodzież, do jakiej żywił żal za brak poczucia obowiązków i akuratności w swoich poczynaniach.

— Zapowiadam paniczowi (takiego terminu używano w tych stronach w stosunku do praktykantów) — kończył pan Miazga, iż w służbie nie znoszę żadnych uwag ani perswazji, sam odpowiadam za powierzone leśnictwo więc wymagam, aby polecenia moje ściśle wykonywano. Może panicz w wielu kwestjach mieć odmienne zdanie od mojego, szczególnie po otrzymaniu dyplomu wszystkim paniczom przewraca się w głowach, lecz u mnie miejsca to mieć nie może. Jestem już stary weredyk i despota, do czego się przyznaję a dlatego, że sam kończyłem wyższy zakład naukowy, mało mam zaufania do świeżo upieczonych inżynierów.

— Korzystaj paniczu z praktyki, patrz i ucz się pilnie, a wyjdzie ci to tylko na korzyść. Podwładni twoi gajowi, jakich jest tu dziewięciu, wszystko ludzie dobrani i starsi wiekiem, nie gardź ich uwagami, gdyż niejednego panicza mogliby w kozi róg zapędzić, chociażby nawet w poznawaniu drzew, jakie zapewne zna panicz tylko z zielnika.

— Ponieważ panicz przyjechał dzień wcześniej, przeto dzień jutrzejszy pozostawiam mu swobodny na rozejrzenie się w przyszłym

terenie pracy. Pokój panicza gotowy na przyjęcie przy kancelarji, dokąd stróż go zaprowadzi i odda klucze od mieszkania. Wprawdzie stół ma panicz u mnie lecz bardzo wątpię, czy zajęcia służbowe pozwolą mu siadać wraz z nami, przeto wikt przynosić mu będą do mieszkania.

Całej tej tyrady wysłuchał Witold stojąc, gdyż nadleśniczy mówiąc, cały czas chodził po pokoju i wcale nie zapraszał go do zajęcia krzesła.

W nader krótkiej biografji Witolda nie mieliśmy sposobności do podkreślenia jednego szczególniejszego zamiłowania jego, a mianowicie do czesanie włosów bądź na głowie bądź brodzie. Mógł jeden z niemieckich monarchów z zamiłowaniem czyścić buty albo król francuski, robić podkowy, dlaczegóżby zwykły śmiertelnik jak naprzykład Witold, nie mógł mieć zamiłowania do czesania głów? W przeciwieństwie do własnej głowy, która, jak powiedzieliśmy nie posiadała ani jednego włoska, z rozkoszą spoglądał na bujny zarost głów innych.

Twierdzili wprawdzie złośliwi, że zamiłowanie to powstało sztucznie, przez długotrwałą przyjaźń z synem właściciela „salonu do strzyżenia i golenia", ale ktoby tam wierzył bajkom, zwłaszcza gdy dodawano, że kiedy przyjaciel objął zakład po ojcu, to w chwilach wolnych od zajęć wstąpił tam Witold na praktykę.

Ale czy tak, czy inaczej, dość, że było to zamiłowanie, jakie wyraźnie zaznaczyło się w rozmowie z p. Miazgą. Słuchał niby z przyjęciem jego uwag, ale cały czas wzrok swój miał utkwiony w jeden punkt t. j. w brodę nadleśniczego.

Ten, zauważywszy uporczywy wzrok Witolda spoczywający na sobie, parę razy obejrzał się niespokojnie, nie umiejąc wytłómaczyć sobie, coby to znaczyło. Wzrok ten w końcu zaczął go mieszać, tracił wątek rozpoczętej rozmowy aż wreszcie zniecierpliwiony zapytał głosem podniesionym:

— Co u djabła rogatego widzi panicz na mnie?

W pierwszej chwili, zaskoczony tem pytaniem, nie umiał Witold zdobyć się na odpowiedź, lecz, widząc srogą minę nadleśniczego, ułożył usta do uśmiechu i jak umiał najgrzeczniej odpowiedział:

— Bardzo przepraszam szanownego pana nadleśniczego, ale pozwoliłem sobie zauważyć, iż prawa strona jego brody jest znacznie silniej ostrzyżona od lewej, co jednak bardzo prędko dałoby się poprawić bylem miał pod ręką nożyczki.

Nadleśniczy zdrętwiał, fajeczka jaką trzymał w zębach wypadła mu, a z otwartych ust głos nie mógł się wydobyć, zdumione oczy wyrażały przerażenie, a przez głowę jak błyskawica przebiegła myśl: warjat!

(C. d. n.).

Zmarli.

Dn. 26 lutego r. b. zmarł śmiercią tragiczną gajowy N-wa Hoduciskiego, Dyrekcji Wileńskiej ś. p. Antoni Gajdelis.

Kto czym wojuje — od tego ginie. Jak żołnierz pada od kuli na polu walki, tak Gajdelis padł na stanowisku pełniąc służbę w lesie, uderzony przez padające drzewo. Dziwnem się może wydawać niejednemu, że gajowy nie umiał zachować się w lesie. Okoliczności towarzyszące z łatwością wyjaśniają ten smutny wypadek. Gajdalis jechał na odbiórkę z drugim człowiekiem i siedząc tyłem do konia, nie widział padającego drzewa. Uderzenie było tak silne, że Gajdalis stracił odrazu przytomność i nie odzyskał jej więcej. Sprowadzony lekarz stwierdził że niema żadnego ratunku. Towarzyszący mu człowiek został tylko uderzony w rękę. Ś. p. Gajdelis umarł w sile wieku mając lat 42, osierocił jedyną córkę i żonę.

Gajdelis był najlepszym gajowym w N-twie, skończył kursa leśne 2 lata temu w Podbrodziu, był członkiem Z. Z. i stałym prenumeratorem Echa leśnego.

Dyrektor p. Grzegorzewski wzruszony tragicznym wypadkiem, pragnąć uczcić zasługi Gajdelisa, delegował na pogrzeb w swoim zastępstwie p. Biernackiego, który przemówił do zebranych, ubolewając nad przedwczesnym i tragicznym zgonem dobrego gajowego, zaznaczając, że chociaż to pogrzeb niższego funkcjonarjusza, lecz Dyrekcja Lasów ocenia każdego pracownika według jego zasług.

Funkcjonarjusze N-twa i koledzy zmarłego ofiarowali wieniec metalowy z liści dębowych.

Pozostała córka jest uczennicą kl. III i b. dobrze się uczy. Aby więc umożliwić jej dalszą naukę, wszyscy koledzy — gajowi postanowili złożyć 10% dodatek miesięczny, który to czyn szlachetny podnieść należy.

Jan Dudziński.

Wydawca: Związek Zawodowy Leśników w Rzeczypospolitej Polskiej w osobie prezesa Związku **Adama Schwarza.**

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA", Warszawa, ul. Sienna 15.